Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 13. Poznań, dnia 29. Marca. **1841.**

Literatura zagraniczna.

Vichnu-Purâna
translated by Wilson. London 1840.

Bhâgavata-Purâna
traduit par E. Burnouf. Paris 1840.

(Ciąg dalszy.)

W kosmogoniach Indyan wyższy jest idealizm, niżeli w idealnych pojęciach Platona, a późniéj niemieckich filozofów. Materyalność jest tylko złudzeniem, a każdego bytu zmysłowego rodzicielką abstrakcya. Tak np. z przymiotowości smakowania rodzi się smak i woda; z dotykania skóra i wiatr, czyli narzędzie i przedmiot. Podobnie kształt wydał z siebie światło, brzmienie wydało powietrze i t. p.

Ale po téj suszy pojęć metafizycznych roztacza się przepych kolorów najbujniejszéj wyobraźni. I to jest wyłączną cechą religijno-filozoficznych badań Indów. Przez abstrakcyjne subtelności przebija się cudna przyroda kraju; rozum olśniony blaskiem barw żywych, i najświetniejszych obrazów; oschłe rozumowania stawione obok zbytku jaskrawych malowideł. Takie są też Indye: jest to kraj poezyi i algebry, powieści uroczych i systemów metafizycznych, kraj bajaderek i pokutników; wszędzie rozkosz i miękkość obok ascetyzmu i umartwienia. Wyobrażenia ich mitologiczne pomięszały się z filozofią. Istność boska jest jedyném istnieniém, ona życiem rozlaném we wszystkości stworzenia, żywotem bytu wszelakiego. Ale ta wszystkość światów jest nierozerwaném stopniowaniem się od najwyższego Boga, obranego z przymiotowości przez niezliczone, najczęściéj dziwotworne przeobrażenia, do najpodlejszych martwych istót, a ery liczą się na miliony lat, w których powstały wszystkie te światy, i nieba i piekła, i wszystkie twory.

Pod tym względem księgi Purana, w których złożona i ta bujność wyobraźni, i ta głębia nadprzyrodzonych dociekań, te osobliwsze przeplatania mitologii z filozofią mają swój szczególny charakter, któremu trudnoby znaleść coś podobnego w całéj poezyi. Choćbyś geniusz spekulacyjny Kanta zespolił z rymotworczym talentem Homera, jeszczeby i to nie wystarczało na pieśni Purana. Kant wprawdzie samą myślą w naturę myśli się wpatrzył, i niejako, jak Mickiewicz powiedział, oko wstecz wywrócił, ażeby zobaczył widzenie; atoli subtelność myśli filozofa indyjskiego o wiele jest przenikliwszą, a zaduma jego rozumu spekulacyą, i mistycznością razem; poezya zaś Iliady i Odyssei tak różna od poezyi indyjskiéj, jak wznioślejsze Himalaja od powabnych wzgórz Attyki; jak rykliwsze spienione bałwany Gangesu od mruczących wód Cefissu; jak dumniejsza jest olbrzymia architektura w Ellora nad skromne Partenonu ozdoby.

Bhâgavata-Purâna tak maluje bóstwo Wisznu przed stworzeniem (355. str.): »Samotny, spoczywał na łożu, taka jego była białość, jak białe są włókna kwiatu lotus, ciało w kształt węża zwite, unosiło się nad oceanem, i zalewało świat w końcu każdego okresu życia istót; a ciemności rozchodziły się przed blaskiem drogich kamieni osadzonych na głowie węża, zdobiących koronną czaszkę jego.«

»Przed tym ogniem bladł blask góry ze smaragdu o przepasce rubinowego marmuru i o licznych szczytach ze szczerego złota; miał wieniec drogich kamieni z jezior, roślin i kwiatów; ramionami jego trzciny bambusowe, nogami drzewa.«

»Ramiona strojne w dyamenty i bogate naramiennice były jak gdyby tysiące konarów; korzeniem jego był pierwiastek niewidzialny; światy tworzyły drzewo bujne, po którego gałęziach połyskiwały korony króla wężów.«

W takim to obrazie mitologicznym, jakby w arabesku równie dziwotwornym, jak wspaniałym upostacioną tu widzimy istność bóstwa, będącego według wyobrażeń Indyan przyczyną wszech rzeczy, bóstwem niepojętém, bo będącém bez postaci i bez przymiotu. Atoli na to pojęcie metafizyczne wysypuje rymotwórca

wszystkie skarby poezyi indyjskiéj i obrzuca szkielet myśli, jakby szklniącą od bogactw obsłoną. Wśród tylu kolossalnych obrazów, którémi gra wyobraźnia poety, prześwietla myśl metafizyczna, jak połysk gromu wśród olbrzymich skał, i kwiecistych dolin, »a korzeniem jego był pierwiastek niewidzialny.«

Wyborny jest także ustęp z téj saméj pieśni tłómaczenia pana Burnouf (449. str.) wystawujący walkę bogów nakształt walk homerowskich, tylko więcéj w nadludzkich skreśloną zarysach. Ta sama tu styczność myśli filozoficznych ubarwionych obfitością obrazów epicznych. Istność nad istnościami, przeobrażona w straszliwego wojownika stacza bój z olbrzymem, a wszyscy bogowie, genie i wszystkie twory przypatrują się téj walce, bacząc z postrachem na jéj koleje, bo od jéj wypadku zależy zbawienie lub zniszczenie świata. Atoli ten, co powala olbrzyma, to stwórca wszech rzeczy. On wśród walki był pełen bóstw, zapłodnionych w łonie jego, i położył ziemię na powierzchnią wód.

Przejdźmy wreszcie z metafizycznych pojęć Indyan do wyobrażeń ich o człowieku, o celu żywota jego, o moralności, o ile je skreślają księgi Purana. Skoro świat cały widomy jest złudzeniem tylko, nie może być czém inném życie ludzkie. Indyanin uważa je za sen utrudzający ducha, za bolesną ułudę zmysłową. Wszystkie działania nasze, potrzeby życia, myślenie oddalają nas od istności najwyższéj, która jest wiecznym pokojem. Świat ten pełen ruchu jest przez to samo nicością znikomą, i człowiek póki żyje, do nicości należy. Duch za winy swoje został strąconym na ziemię, i za karę prowadzi żywot ziemski. Ztąd to w pieśniach Bhâgavata tak żywo odmalowany obraz nieszczęść doli ludzkiéj. Już w pierwociu słychać jęczenie duszy, że wskazana na życie, strącona na padół ziemi, zanurzona we krwi, pełza jak robak, obrana z pamięci, obrana z wiedzy, i niemogąca się dać poznać. Tu więc człowiek nowonarodzony stósowniéj, niżeli u Lukrecyusza nazwan być może podróżnym od fal morskich wyrzuconym na ląd

. . . . *Saevis projectus ab undis*
Navita . . . .

I Pliniusz smutny skreślił obraz życia człowieka. Wszakże nie ma w nim tyle rozlanéj melancholii, co w poezyi Purâna. Umysł Rzymianina, kiedy już wiekami skruszona była wiara w szanowane niegdyś ustawy Numy, owładniony skeptycyzmem, w całkowitém zwątpieniu religijném smutną widział dolę ludzi. Indyaninowi zaś było takie wyobrażenie żywą wiarą. On wierzył, że żywot człowieczy jest karą na ziemi, strąceniem z wysokości, niejako upadkiem aniołów.

Kiedy tak bolesne i poniżone jest człowieka przeznaczenie, zachodzi pytanie, co mu wypada przedsię brać, aby je zwalczał i wyszedł zwycięzko? — Oto ma być na podobieństwo najwyższéj istności. To więc religijny i filozoficzny powód owego kwietyzmu indyjskiego. Stępienie w sobie żądz wszelakich, nieczynność zupełna umysłu i ciała, a zanurzenie się całym sobą w jednę myśl owéj jednoistéj istności bez różnic, granic i formy. Czyny i działania nasze wtrącają nas tylko coraz głębiéj w ten świat ułudy, a oddalają od pierwiastku onego niewidzialnego. »Zadumanie się we Wisznu« powiada purana tegoż nazwiska (Wilson st. 15.) »jest na podobieństwo miecza, którym człowiek rozumny przecina węzeł działań swoich, co wiążą duszę jego.«

Indyanie wyrobili i wykształcili u siebie ten rodzaj kontemplacyi, i nazywają go Yoga; ów stan duszy, którym wznosząc się pod nad wszelakie funkcye życia, po nad wiedzę i po nad myślenie samo, mienią się być połączonymi z bóstwem, tonąc duchem, w łonie jednoistości jego. Różne są ku temu stopnie i różne przepisy w postępowaniu. Nie jedna metoda w oczach naszych dość śmieszna, aby dojść do owego najwyższego szczebla zadumy, do zupełnego otrętwienia i zatopienia się w Bogu całym sobą.

W Bhâgavata czytamy (Burnouf str. 209.): »Ascetyk, chcący oderwać się od świata tego, niech siądzie na siedzenie mocne i wygodne, niech go nie zajmuje ni czas, ni miejsce, niechaj oddycha, ale niech zatrzyma oddech w sercu swojém.«

»Niechaj serce niknie w oczyszczonéj wiedzy człowieka, wiedzę tę niechaj chłonie pierwiastek, który w nas widzi, a ten znów niechaj tonie w duszy własnéj, a tym sposobem mędrzec pełen stałości, jednocząc ducha swego z duchem powszechnym, będzie w posiadaniu zupełnego spoczynku i wstrzyma się od działania wszelkiego.«

Tamże str. 551. opisana jest najwyższa doskonałość kontemplacyi w te słowa: »Kiedy w odosobnieniu się od wszystkich przedmiotów, serce żadnéj już nie zna żądzy, i oderwane od świata, przygasło na podobieństwo płomyka, który się wypalił; człowiek w takim stanie stanął po nad przymiotami swémi, widzi ducha swojego pod wzrokiem swoim, bo krom ducha nie ma nic w nim innego, niczém się odeń nie wyróżnia.«

»Takiém zatarciem uczuć wszelkich zstępuje na łono najwyższego majestatu, wolen boleści i rozkoszy, tych ułomności natury ludzkiéj; ich początek odnosi się do osoby człowieka, do pierwotnéj przyczyny działania, któréj już nie masz, bo człowiek w łonie własnym ujął istotę istności najwyższéj.«

»Kiedy w ten sposób Siddha (ascetyk) przyszedł do poznania tego, czém jest w istocie, w téj doskonałości ducha nie ma już uwagi na ciało, czy to, że stanął, gdy się ono pod wpływem przeznaczenia podniosło, czy też, że się ruszył z miejsca lub usiadł, on nie wie o tém wszystkiém, jak człowiek oślepiony odurzającą tęgością likworu nie widzi stanu sukni, co nagość jego okrywa.«

»Wszakże ciało działając pod wpływem przeznaczenia nie przestawa żyć wraz ze zmysłami, dopóki trwa rozpoczęte raz działanie żywota; ale człowiek, co doszedł celu kontemplacyi i poznał rzeczywistość, nie ma już styczności z ciałem; cała zmysłowość i wszystko, co z ciałem ma związek, są dlań na podobieństwo mary sennéj.«

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Czarna sukienka.

(Ułamek.)

Grzmi muzyka, taneczne zwijają się wstęgi,
I znów się rozkręciły, jak wężowe kręgi;
I długą taśmą w poprzek sali przesuwają,
To polskiego, wesołe pary pohulają!
Witam cię łzawém okiem, pamiątko przeszłości,
Zda mi się Staropolców widzieć w twarzach gości —
Tylko pas starodawny gdzieś zniknął — a w twarzy
Ni to stara powaga, ni się zapał żarzy!

A tam w czarnéj sukience cudna postać świeci,
Wszyscy jéj zapomnieli — ku niéj wzrok mój leci;
Ona jedna wesołéj uczty nie podziela,
Tylko łzawą źrenicą jak brylantem strzela!
To narodowy taniec rozłzawił wspomnieniem
Śliczne oko, płonące anielstwa promieniem.
Jam w zakątku, wpatrzony w to boskie oblicze,
Wczytywał się w jéj piękne rysy pokutnicze!
To rodaczka — to perła Staropolców rodu,
Rzuca zamglonym blaskiem w pomroce zachodu,
To matki żałobnica — taką ją widziałem,
Pośród hucznéj biesiady — i wraz ukochałem,
Nieodgadnionym, dziwnym, tajemniczym szałem!
I tak do serca lgnęła barwa jéj żałoby,
Jakby duch mój uleciał nad ojczyste groby!

Jam dumał o mogiłach ojczystych — a ona,
Jak nagrobowy posąg, siedzi, zatęskniona!
Więc mam choć jednę w żalu samotnym spólnicę
W czarnéj sukience, jasną jak anioł dziewicę!
A wkoło mnie mijają tancerki ochotne,
Grzmi muzyka, po sali krążą stopy lotne;
Wszystkie piękne — a żadna nie znęci mię w tany,
Bom ja w czarnéj sukience z duszą rozkochany.
Chciałbym ją widzieć co dzień w tém samém ubraniu,
Chciałbym z nią życie prześnić we łzach i dumaniu!

I poznałem ją, głos jéj: muzyka żyjąca,
Co wnika w serce, dziwnie tęskna i marząca,
To oko, co gra duszą jasną, jak kryształem —
Poznałem ją, i w téjże chwili oszalałem
Nieodgadnionym, dziwnym tajemniczym szałem!

I zda mi się ją widzieć — zbudzonemu zrana,
I cały dzień mi świeci jéj postać kochana,
I widzę ją o północ — kiedy mię sen zmroczy,
I widzę jéj z wieczora — śliczne gwiazdy — oczy!
W anielskie kształty tęskne wytężam źrenice,
I dłonie — i zda mi się bliskiém cudne lice,
Zda się, że posłuchała na moje zaklęcia
I rzuciła się w dzikie szaleńca objęcia!

O nie! — to w duszy tylko boskie wdzięki świecą,
Co wraz z szaleńca duchem do grobu ulecą!

A ona gdzie? — na ziemi nie pytam, gdzie ona,
Byłem w niebie w jéj śliczne utonął ramiona.

7. Grudnia 1840. r. *Franciszek Żygliński.*

O pierwiastkowych wiekach oświaty w Polsce.

(Z uwagami nad historyą literatury Michała Wiszniewskiego.)

(Dalszy ciąg.)

Zjazdy wielkie pod słonecznym namiotem, w ostępie rzek i lasów,*) otwierają szeroki zawód obrad krajowych. Wymowa zrodzona na polach bitew i przed szeregami walczących,**) rzecznictwo na poddaszach wiejskich i w uściech obżałowanych kmiotków kształci się***) obrzędy i biesiady obozowe nie znają pieściwych nóceń wajdelotów; ale słychać wśród gwaru rycerstwa grube rapsodystów śpiewy, w zapale czucia improwizowane.****)

Taki obraz w ogólności wystawiają dzieje ówczesnéj, z idei narodowéj powstającéj literatury. Narodowe są, poetyckie, jak poetyckie farby dziejów krajowych, które się w nich bez wątpienia malowały. Cała ta literatura narodu, który żył w czynach samych, a więc sam sobie był kapłanem, filozofem i poetą, wywinięta z potrzeb miejscowych i pomysłów, miała za

*) Sądy gajone, gajenia.
**) N p. mowa Bolesława nad Bugiem przy podniesionych kopiach rycerstwa i t. p.
***) Byli za Bolesława W. rzecznicy, którzy do ludzi prostych rzecz czynili.
****) O takich śpiewach pozostały tylko wzmianki w historyi.

właściwe cechy siłę, prawdę i prostotę. Silne bowiem jest to, co z uczucia płynie; prawdziwe, co nie na urojeniach przesadnéj wyobraźni, lecz na rzeczywistości oparte; proste zaś, co najmniéj od natury się oddala. Geniusz narodowi właściwy nigdzie wyraźniejszego nie mógł wycisnąć piętna, jak na tych pierwiastkowych tworach umysłowego życia, postępującego wespół z życiem praktyczném, rzeczywistém.

Czynni w zawodzie takiego życia starsi przodkowie narodu nie odrywali się nigdy w krainę odrębną myślenia, i żyli w świecie rzeczywistości, a nie we śnie wyobrażeń. Mówili, bo działali (gdzieindziéj piszą, bo tylko myślą). Ztąd wymowa, wynikająca z praktyki życia publicznego, i do niego przywiązana, wcześnie się u nas rozwinęła, i zawsze była kształconą. Szlachta, jedyna do szabli i rozprawiania, wracając z wypraw wojennych, objeżdżała dwory, i wśród biesiad i zgiełkliwych towarzystw rozgadywała się o swoich i bratnich przygodach. Przy takim sposobie życia sztuka opowiadania snadno się ćwiczeniem kształciła. Historya, jako zwierciadło zdarzeń, była bez wątpienia przedmiotem, w którym najpierwéj i najwłaściwiéj mogły były wyczerpnąć się umysłowe zdolności narodu, gdyby wczesnemu jéj rozwinięciu nieznajomość sztuki pisania nie była stanęła na przeszkodzie: rychléj wszakże nad inne gałęzie literatury rozwinął się u nas kunszt historyczny, i zawsze nim przodkowie nasi celowali. Zatrudnieni sprawami cały ogół obchodzącemi, wszystko ku powszechnemu celowi zwracali: w ogólności, więcéj jak naród, niżeli jak indywidua, więcéj czynami niż słowy, więcéj zatém w swoich dziejach niżeli w swoich poetach poetycznémi byli. Ztąd w miejscu historyków szszególny u nas rodzaj dziejomówców, którzy między innémi narodu naszego osobliwościami nadawali mu piętno tak właściwe, wyraźne i odrębne. Ich powieści złożyły całą prawie poetyczną treść dziejów przeszłych. Z życia praktycznego wynikłe, i do niego nawzajem zmierzające, nie przyjęły w ów czas żadnego znamienia sztuki, ale stały się jéj źródłem i żywiołem. Imiona szczęśliwych opowiadaczów, wraz z powieściami, utrzymywały się początkowo w podaniach; potém cichły i ginęły w zapomnieniu, nie zaręczone żadnym trwałym pomnikiem, jak giną proste śpiewaków wiosiennych pienia, uronione bez śladu w powietrzu.

Jeżeli religia jest prawdziwą treścią człowieka, nieodłączną od jego bytu i myśli, zapewnie mogła nie mało rozprzestrzeniać zawód ówczesnéj poezyi, któréj utwory osadzone na tle wyobrażeń, jakie naród z pogańskiego świata wyniósł, i właściwym kolorytem swéj miejscowości zafarbował, osnute cudownością tajemnic, i dziejami natchnione, składały jakoby jednę rapsodycznie improwizowaną i niekształtną epopeję narodu. Nie znamy ojców poezyi naszéj; tylko jéj urok przesiąknął w dzieje, i świetne obrazy narodowego życia, od którego farb swoich nie odłączała. Żywo, ruchomo objawił się duch poetyczny w ogólnym zbiorze wyobrażeń, spraw i zatrudnień Lechii, znamionując tak silnie dziejotwórczy obraz czasów Chrobrego.

Każdy wiek posiada w swéj literaturze zarazem owoc przeszłości i nasiona przyszłego plonu, jak wszędzie w przyrodzeniu owoc i nasienie jest jedno i to samo. Ale związki literatury tego okresu były owocem podobnym do płodu niedonoszonego w żywocie macierzyńskim, z którego znamion mógł wieszczy duch narodu, jak niegdyś z wnętrza zabitéj ofiary, badać przyszłe koleje i losy oświecenia.

Właśnie była to pora, w któréj szerzące się od postronnych ku bałwochwalczéj słowiańszczyznie chrześciaństwo, zmienić poczęło zasady ówczesnéj cywilizacyi. Rzucone nasiona nowéj nauki na grunt mało przysposobiony, nie łatwo swym korzeniem przeniknąć zdołały grubą warstwę nałogów, zasad i wyobrażeń z przeszłości odziedziczonych.*) Potrzeba było wyzuć się niemal z wrodzonych skłonności, uczuć i pomysłów, wyrwać z objęcia rodzinnych pamiątek, praw i przyzwyczajeń, aby przeszczepić w siebie różną od pierwszéj naturę, i to wyższe pojęcie człowieczeństwa, które z niebios przyniosła z sobą religia objawiona. Tlejące zgliszcza popalonych bałwanów nie straciły ich czci głęboko w sercach zakorzenionéj, którą utrwalone wiekami pamiątki w mowie, śpiewach, zwyczajach i obrzędach domowych zachowały, dowodząc smaku narodowego.**) Ku nim, jak dziecię stałą ku swéj matce pałające miłością, skłaniał się nieustannie naród, i zawsze z rozkoszą na ich łono powracał. Z nagłego wtedy starcia się wyobrażeń jednych drugim przeciwnych powstająca walka, nie mogła innego sprawić skutku, jak wstrzymać pierwotny ruch i wegetyczną siłę umysłów, wśród głębokiego snu marzeń i pieszczot zmysłowéj przyrody, jak gdyby obcą ręką nagle wstrząśnionych.

Wkrótce światło narodowéj idei ukazało się na tém tle nowéj cywilizacyi, jak w pryzmatyczném przezroczu, rozdzielone i zdrobnione na pojedyńcze farby.

---

*) Dla tego nawracane orężem ludy słowiańskie ustawicznie wracały do bałwochwalstwa.

**) Do tych zwyczajów stósować się musiały początkowo przepisy chrześciaństwa. Chociaż prawo chrześciańskie pierwsze miejsce przed krajowém wzięło, wszelako przezeń krajowe nie zostało zniesionem, ale na własnéj posadzie byt swój przekształcało.

Znikła mądrość przed pospolitym rozumem — a samą wyższością powołania i tajemnicą nauki piśmiennéj, oddzielił się naprzód kapłan od reszty ludu.

Lecz prawdziwe oświecenie jest zawsze rzeczą ludu, bynajmniéj zaś rzeczą klassy pewnéj, stanu, kasty. Lud bywa zawsze wyobrazicielem swojego wieku. Jak pieniądz dobry, ważny i brzęczący, nosi na sobie powszechne znamie monety, która płaci; podobnie każdy z gminu, chociaż osobnym nie odznacza się geniuszem, przecież myśli i działa według panujących pomysłów i dążności ogółu, w którym się mieści. Gdzie lud pospolity ma byt tylko ujemny, tam zamiera życie ogółu, albo zostaje sam pień miasto drzewa, w liście, gałęzie i kwiat rozbujałego. Aby nauka mogła być zdrowym i zasilającym pokarmem narodu, powinna korzeniem swym sięgać jego rodzimych pierwiastków; aby wzmagała życie ogółu, winna wszystkie członki razem ożywiać: zaczém zbliżać się musi ku powszechnemu pojęciu, zstępując z tonu impozycyi i znaczenia. Pospolicie uczeni boją się popularności, gdy ją za jedno z gminnością biorą. Ale pod względem oświecenia, gmin póty tylko istnieje, póki z powagą swoją istnieje kasta. Jaki z téj miary wpływ mieć mogła na narodowe oświecenie wprowadzona do kraju obca naukowa oświata, przywiązanie wyłączne nauki do pewnego stanu powołania, rzecz sama z siebie jest nadto widoczną.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Historyczna wiadomość o Jezuitach w Polsce.

(Dalszy ciąg.)

W roku 1620. Argentus prowincyał polskich Jezuitów napisał dzieło o sprawach swego zakonu do Zygmunta III. Jest to główna obrona towarzystwa Jezusowego przeciw zarzutom, których już i wtedy nie mało się nagromadziło. Przytoczmy tu niektóre przykłady; Jezuitów polskich Argentus mieszanie się w rzeczy polityczne tak tłumaczy. Polityka jest dwojaka sprawiedliwa, słuszna podług praw Boskich, a druga bezbożna tylko chęć panowania na celu mająca. Nie ma nic nagannego dobro wspierać złe gnębić. Ktoby ganił rządzenie, tenby potępiał królów wszelkich rządców, i Boga samego dobrych rządów pierwszego sprawcy. Mięszać się zaś w rządy przez kłamstwa, rzucanie podejrzeń, sprawowanie obowiązków cywilnych prawa towarzystwa Jezusowego ściśle zakazują. Na Jezuitów robią krzyki tylko ci ludzie, co się nie znają na polityce, co Jezuitów widzą przy monarchach jako spowiedników i kaznodziéj, a że ich przy monarchach widzą, więc myślą, że oni już z nimi rządzą. Któż może ganić zakonnikowi, jeżeli zwróci uwagę króla, aby Boga króla królów miał przed oczami, sprawiedliwość ten węzeł społeczeństwa szanował, i tym podobnie. Któż ma kierować sumieniem monarchy, jeżeli nie teolog? Święty Ludwik, żeby błędu nie popełnił, zawsze na obradę teologów przywoływał. Nigdy Jezuita z monarchą o senacie, o rządzie, o pokoju, o wojnie i urzędach publicznie nie dysputował — jeżeli tajemnie, jakże o rzeczy niewiadoméj można rozprawiać? Bajka to jest, żeby kardynał Bernard Maciejowski miał pisać z wyrzutami do doży weneckiego, że Jezuitom polskim dopomagał do mięszania się w sprawy. Maciejowski lubił Jezuitów, i spowiednikiem miewał Jezuitę; tak był dla towarzystwa, jak kardynał Jerzy Radziwiłł. Dosyć, że i papieże i cesarze oddają najlepsze świadectwo Jezuitom. Stefan Batory powiedział w przywileju, że Jezuici są jedynym środkiem do podniesienia katolicyzmu w Polsce i przywrócenia do zdrowia dusz odszczepieństwem rażonych, a Hozyusz ozdoba kardynałów, lub Chodkiewicz mąż pierwszy w narodzie, jakże się okazali względem Jezuitów? Jezuici polscy nic królowi nie podszeptują, ani urzędów u niego nie wyrabiają, bo on sam (Argentus) raz pytał się o to Zygmunta III. i odebrał odpowiedź, że wiele krąży o tém bajek i fałszów. Prawda, że różni naprzykrzają się Jezuitom o urzędy, lecz napróżno. Jeżeli chodzi o pobożność, sprawiedliwość, lub coś podobnego, wtedy na chwałę Bożą a na zasługę monarchy można wygodzić jedném słówkiem człowiekowi uczciwemu, zdarzały się polecania osób, ale na nie mało zważano. W rzeczach duchownych toć Jezuici jako zakonnicy mogą mieć głos prawnie. Hieronim Gostomski, wojewoda poznański, powiadał, że wszelkie godności i zaszczyty u królów sobie by zasłużył, a przez zpoufalenie się z towarzystwem jezuickim tylko nieba dostąpić zamyślał. Że Jezuici urzędy wyrabiali za wynadgrodzeniem, na to niema co odpowiadać, bo skoro wcale urzędów nie wyrabiali, toby dziwny był wywód, że sprzedajnie. Prawda, że byli tacy, co chcieli Jezuitów przekupywać, ale ci ich zawsze z pogardą odprawili. Prawda, że jako biedacy Chrystusowi przyjmowali Jezuici jałmużny z czystéj miłości Chrystusa ofiarowane, lecz nigdy nie z inszego tytułu. Te krzyki na Jezuitów podnoszą zwykle ludzie do urzędów niezdatni, i którzy mają tylko zaletę w języku do robienia hałasu i podburzania drugich. Na przywileje zaś zakonu tak względem rzeczypospolity, jak względem biskupów, wykrzykują sami tylko heretycy. Uczącéj się w szkołach jezuickich młodzieży, można liczyć na

8 do 10,000, z samych szkół poznańskich w jednym roku wstąpiło do różnych klasztorów przeszło 50 młodzieńców. Niekatolicy posyłają do Jezuitów dzieci, bo szkoły dobre. Jezuici w koronie ubodzy, rzadko które kollegium może utrzymać 60 członków, a drugie ani 20. Koszt na jednę osobę nie wielki, bo tylko 60 zł. pol. rocznie; o Litwie nie masz co wspominać, tam bieda okropna. Towarzystwo Jezusowe chociaż ubogie z pewnością nie czycha na cudzą własność, jak mu to zarzucają. Co darmo dostaje, to darmo rozdawać ma obowiązek — za posługi wynagrodzenia nie wolno mu przyjmować, trudny dowód, że ciemnych oszukuje, a bogaczów łapie. Jezuici żyją z jałmużny, a kiedy przyidą do funduszów, porzucają jałmużny. Najwięcéj dochodów mają kollegia, bo to są fundusze naukowe na seminarya. Skoro kollegia są dostatecznie uposażone, zrzekają się natychmiast wszelkich jałmużn. Kollegium poznańskie, najgłówniejsze w całéj Polsce, jest bardzo ubogie w zabudowaniach, kollegium wileńskie, po spaleniu nie miało czasu wydobyć się z gruzów. Któryż Jezuita Nowodworskiego, Paca, Chodkiewicza i innych tak oszukał, że kollegia, co dopiero pobudowali. Jezuici są ubodzy, gdy ich potrzeba przyciśnie, bez zarumienienia proszą o wsparcie, ale zdarza się najczęściéj, że wsparcie wyprzedza ich prośby i częściéj dobrodzieje wzywają ich, aby przyjęli, jak Jezuici proszą, aby co dostali. Obyczaj ten ze skromności wynikły, od kolebki rosł z towarzystwem. Gdyby towarzystwo tak było chciwe, toby pilnowało spadków po swoich członkach, a czyż w téj Polsce, gdzie tylu bogatych było Jezuitów, odziedziczył zakon, nie wieś, ale aby jednego chłopa? Wierutne bajki, że towarzystwo klasztory innych zakonów sobie przywłaszczało, prawda, że czasem opuszczone, lub od papieża albo króla prawnie dane zajęto. To jest tylko heretycki obyczaj bez budowania przychodzić do kościołów, jak widzimy w Niemczech, Anglii, Szkocyi, Francyi, Szwecyi, nie inaczéj można widzieć i w Prusach, na Pomorzu, w Kurlandyi, Inflantach, a zwłaszcza po miastach Toruniu, Elblągu, Gdańsku, w Królewcu, Rydze. Trzebaby być tęgim arytmetykiem, żeby te wydzierstwa policzyć. Pisarz bezimienny największe robi krzyki, że Jezuici Polscy w trzech czy czterech kościołach parochialnych zyskali od królów kollatorstwo; oczywiście nie cierpi zakonu, wie, że co mogą Jezuici, to już nie pójdzie w ręce heretyckie, że w takich kościołach bardziéj świetnieje cześć Boska, którąby heretycy zagasić chcieli. Bajki, co ten bezimienny pisze, że Jezuici w Rzymie oblegali ciągle umierającą bogatą wdowę, i jéj siostrzeniec po drabce w nocy do niéj wszedł z notaryuszem, aby testament odmienić mogła; że po śmierci Jezuici spadek po niéj obejmować mogli. To rozśmiesza, że Jezuici chcieli z jednego ograniczonego biskupa krakowskiego dochody wyłudzić. Któż to powiedział? czemuż autor biskupa, wsi lub miast wyłudzonych nie wymienia.

Często po sejmikach, jak i po sejmach walnych rozlegały się hałasy, że Jezuici cudzą własność szarpią, pokój publiczny mięszają i królestwo obalają. W Gdańsku dostali kościół brigittański od króla i biskupa. Gdańszczanie nie śmiejąc uderzyć wprost na katolików, wypędzają Jezuitów. Gembicki, podówczas biskup władysławski, przywraca dawny porządek, skoro jednak wyjechał; Gdańszczanie znowu kościół odbierają i strażą obsadzają. Oczywiście Gdańszczanie byli dla króla nieposłuszni, względem biskupa krnąbrni, względem Jezuitów napastnicy. Toruńczanie także krzyki robili, coś tajemnego knuli, na sejmikach żale wywodzili, przed królem się uskarzali, paszkwile wydawali. W roku 1614. zrobił się jakiś rozruch, spędzano początek na uczniów jezuickich, a rzecz była taka: Jezuici odbywali doroczne suplikacye, magistrat ich przywołał i suplikacyi zakazał; odpowiedzieli, że to nie do niego lecz do miejscowego plebana należy. Pleban podług obyczaju suplikacyą urządził; na niéj byli uczniowie i nauczyciele Jezuiccy. Mieszczanie dla przeszkodzenia processyi ulice łańcuchami poprzeciągali, a potém zbrojni uderzyli. Wybornie! żeby zapobiedz rozruchowi, rozruch robią. Tak postępował ów poczciwy człowiek, który zapobiegając, żeby złodzieje nie odarli jego przyjaciela w lesie, sam go odarł w karczmie. Pleban miejscowy zaniósł manifest o gwałt wyrządzony wolności religijnéj i sprawę rozpoczął. To wszystko Toruńszczanie zwalają na Jezuitów; chcą podług bajki Ezopa przymierza wilczego z owcami, byle tylko psów oddalily. Toruńszczanie mówią: iż na Jezuitów nie masz w Polsce sprawiedliwości; że Jezuici sądów żadnych nad sobą nie uznają. Toruńszczanie chcą, żeby im podług obyczaju angielskiego wolno było zakonników na ratusz uprowadzać, w rzeczach wiary i obyczajów nad nimi, wyrokować, wskazywać, karać, wieszać. Ale trzeba im czekać sprawiedliwości, od najjaśniejszego króla (Zygmunta III.) Powiada daléj Argentus, że w Rydze przyszedł do niego burgrabia, który był razem burmistrzem, syndyk i inni senatorowie miejscy, że chcą zawrzeć z Jezuitami ugodę, względem niektórych punktów spornych. Umówiono termin, na nim wszystko ułatwiono, a reprezentanci miasta oświadczyli, że nie mają jeszcze dostatecznego pełnomocnictwa. Po dłuższéj przewłoce stawił się tylko pisarz miejski, i o-

świadczył, że senat do wszystkiego gotów, lecz lud wszelkim układom przeciwny, Argentus prosił Chodkiewicza, generalnego Inflant kommissarza, aby rzecz miasta Rygi z zakonem ułatwił, ale Ryżanie o żadnych układach ani wiedzieć nie chcieli. Ciągłe krzyki na zakon, a właściwie na samego króla podnosili.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krytyka.

GESCHICHTE POLENS
von
Dr. Richard Röpell.
Erster Theil.
Hamburg, 1840., bei Friedrich Perthes.

(Dokończenie.)

Trzeba znowu tu zacząć od tego alpha historyi polskiéj, które jużeśmy wielokrotnie wyrzekli, którém może aż nudzimy. Karól wielki bił Czechów, Syrbów, Łużyczan, a pewnie i o Lechów zawadził, bo miał sięgnąć aż pod Wartę i do źródeł Wisły. Pokolenia słowiańszczyzny zachodniéj skupione dla obrony przeciw Niemcom zawiązały Polskę. Pierwotni Polacy jedni żyli po grodach z wojny, a drudzy po wsiach z roli; pierwsi byli rycerze, a drudzy kmiecie. Kmiec w nagrodę bezpieczeństwa wnosił do grodu rycerzowi osepy, mięso, i mamy tu owe pierwsze podatki. Kmiec przez uprawę zawsze téj saméj roli kładł na nią piętno własności, a rycerz z razu posiadał może tylko zbroję. Obrona kraju potrzebowała dowódzców, i u Lechów najpewniéj w każdéj ziemi był chorąży obieralny, jak ów Gallussa Meczsław (Masław) na Mazowszu. Ale kilku ziemiom trzeba było po jednéj myśli wojować: otóż mamy i króla. Król okopy i grody w miarę potrzeby naprawiał, lub nowe budował i kmieciom do pracy stawać, lub pomocne składać kazał. Król te grody objeżdżał, swoich komorników z rozkazami do nich wysyłał, albo z nich doniesienia odbierał, a mamy podwody, stójki, przewodników. W takich przejazdkach rycerskich chwytano rolnikom owce i woły; nie obyło się zapewne bez bicia, a nawet i zabijania ludzi. Skrzywdzony skarżył się w przejeździe przed zwierzchnikiem ludzi wojennych rycerzy, czyli królem, i ztąd powstały sądy przejezne. Grody były zakłady wojenne; miasta to jest zakłady przemysłowe długo nie istniały. W grodzie osiadł jednak karczmarz, rzeźnik, rybak, garncarz, bednarz i pewnie żyd ze solą, żelazem i innymi prostymi towarami, król ściągał od nich jatkowe, cło rzeczne i targowe. Jak przyszedł biskup albo opat, a naprowadził jeszcze Włochów, Franków i Niemców, tak z grodu zrobił nie tylko katedrę lub klasztor, ale i miasto. Król od strony winnéj ściągał kary sądowe w skorkach kunich, miodzie i pieniądzach. Grunt przez nikogo nie posiadany, las, wielkie jezioro były wspólne, a ztąd pod rozporządzeniem władzy krajowéj czyli króla; za to także wpływały zapłaty. Miał król o czém wojnę prowadzić, mógł rycerstwo gruntami obdarzać. Rycerz na wojnie chwytał jeńca, robił go niby wolnym (*libertus*), osadzał na roli jako kmiecia, ale poddanego; dzielił się z nim dochodami i czynsz pobierał, kazał sobie płoty grodzić, ogród orać. Nie dopisujemy tu źródeł, bo kto się z niemi nie zna, nie może czynić zarzutu, a kto się zna, ten go nie uczyni. Rolnicy wolni kmiecie, czy poddani przez pokolenia na swéj roli siedzieli. Król i rycerze pragnęli swe stósunki na dzieci przenieść i wszystko tłoczyło się w dziedzictwo. Skoro z ojca na syna szły spółeczne korzyści, powstała i wielka różnica urodzenia. Krew królewska i rycerska wspólką na wojnie trzymały się po jednéj stronie, a krew kmieca z niewolniczą musiały się ściekać po drugiéj. Dziedzictwo sławy bez majątku w każdym potomku niebitnym upośledzonym na ciele lub duszy stawałoby się tylko ironią znakomitości. Od Kazimierza I., jak donosi Gallus, przy bitwie na Mazowszu widzimy ciągłe rozdawanie gruntów, na których rycerze z pewnością obsadzali jeńców. Mamy tedy szlachcica, jak należy, który naturalnie musiał wolnego kmiecia chcieć robić jeńcem, a nie jeńca kmieciem. Możemy mu też jeszcze przydać i pas rycerski; wciągnąć go do bractwa, bo nam Gallus donosi, jak Władysław Herman passował Bolesława Krzywoustego z inną młodzieżą. Uważamy więc rycerza za tego, który przy królu na wojnę stawał, z nim się związał, i jak własność narodową, tak i władzę razem z królem na narodzie swoim zdobywał. Rząd słowiański demokratyczny od razu przeciągamy na republikanizm arystokratyczny, ale nie massy szlachty, która jeszcze nie istniała, tylko rycerzy, panów, (*dominos, comites, nobiles.*) Nie widzimy wcale tego przechodu ze słowiańskiéj demokracyi przez ścisły monarchizm dopiero do polskiego republikanizmu arystokratycznego, co nie tak Dr. Röpell jak inni historycy koniecznie wpierają. Z dziedzictwem panów rosło i dziedzictwo królów, lecz nie co do władzy, ale tylko co do posiadania tych grodów, których nie dali ani rycerzom, ani duchownym, ani na życie dla swoich dzieci zachowali. Nie względem dziedzictwa tych grodów, ale względem dziedzictwa tronu czyli władzy nad wszystkiemi stał Piastom ciągle na przeszkodzie dawny wiecowy słowiański pierwiastek, jakeśmy to już nieraz utrzymywali w Tygodniku. Jeden Bolesław Wielki aż do śmierci podług swéj woli rządził: nie prawem jednak monarchizmu, lecz tylko prawem karności wojskowéj. Aleć i przy nim widać dwunastu przyjaciół, to jest rząd komitetowy republikańsko-arystokratyczny. Ginie niejako ten rząd i przez to w historyi, że Ditmar i Gallus, Niemiec i Frank, obrobili cały pierwszy okres ten tak zwany ściśle monarchiczny. Ale i Gallus wszelkich śladów nie zaciera: jeszcze za Krzywoustego lud wrocławski zapewne z rycerstwa złożony rozstrzygał spory o rządy Sieciecha ze Zbigniewem, jeszcze Bolesław i Zbigniew nawet na ojca przed tym ludem skarzyli. Chodziło Bolesławowi Wielkiemu o wierność i miłość w grodach, bo rozdawał w nich suknie odświętne, pokarmy napoje i nawet uczty sprawiał. Inaczéj zaraz nasz rząd pojmują Nestor, Mateusz Cholewa, Kadłubek: tam już błyszczy narodowy pierwiastek. Nie robimy żadnych wyrzutów Dr. Röpellowi, że tego wszystkiego nie rozwinął. Wolno jemu inaczéj pojmować historyą. Korzystamy tu tylko ze sposobności, aby jeszcze raz podać ten system pod rozwagę drugich. Nam się zdaje, że stoi jak murowany.

Rozprzężenie po śmierci Mieszka II. uważa autor za reakcyą pogaństwa i demokracyi z czasów słowiańskich. Co do pogaństwa musimy uczynić uwagę, iż Gallus nie mówi, że niewolnicy (*servi*) i wyzwoleńcy (*liberati*), którzy bili na swoich panów (*dominos*) i szlachtę (*nobiles*) odpadali od chrześciaństwa, ale od wiary katolickiéj (*a fide catholica.*) Dr. Röpell nie przypuszcza w Polsce obrzędu słowiańskiego: Zna Stredowskiego, czytał Friesego, bo go wspomina; zapewne też zna i uwagi Maciejowskiego, a skoro na nich nie uważa, to my nic dobitniejszego przytoczyć mu nie potrafimy i musimy go spokojnie obejść w jego stanowisku.

Rady, które daje autor na początku XIIIgo rozdziału pierwszéj księgi, co powinni byli Polacy robić około czasów Bolesława Śmiałego i Henryka IVgo, króla niemieckiego, uważamy jak za późne, tak i niepotrzebne. Historyk każdy musi wierzyć w konieczność przy rozwijaniu się narodów. Musi przyznać, że narody nigdy nie szły po drodze wyrozumowanéj przez siebie, ale po drodze wytkniętéj z góry. Ludziom rządzącym wolno sobie pochlebiać, że byli twórcami wypadków, ale historyk prawie się obala przez dowody, że co się stało, stać się musiało. Nie upada przez to pojęcie woli człowieka, ale historya pokazuje, że robić tak lub przeciwnie dla narodów, dla całéj ludzkości zawsze jeden skutek. Człowiek nie może opanować kierunku swego rodzaju ani narodu, lubo powinien się o to kusić.

Opole po większéj części uważano dotychczas za podatek XIII. wieku, albo też za obowiązek pomagania drugiemu przeciw złodziejom. Dr. Röpell, mając przed oczami dokumenta, których innym historykom nie przyszło porównać, a mianowicie ze zbioru Raczyńskiego (*Cod. dipl. maj. Pol.*) dokument z r. 1242., potém z Archiwum teologicznego, które wydawał kanonik Jabczyński, dokument względem zamiany dóbr między Bolesławem i jego żoną Jolanthą, oraz dokument lubiński z r. 1319. zachowywany w archiwum naczelnego prezesa w Poznaniu, a nakoniec jeden dokument u Stenzla (Urkundenbuch I. No. 42.) wykazał niezbicie, że opole (*vicinia*) znaczy obwód, stowarzyszenie pewnéj liczby wsi. Opole miało obowiązek utrzymania spokojności według opisu prawa: odpowiadało za każde zabójstwo i za każdą napaść w granicach swoich, skoro sprawca nie był wykryty, albo pokrzywdzonemu odmówiono pomocy. Z takiego opola płacono podatki wspólnie i autor przytacza przykład, gdzie z opola książęciu corocznie dawano krowę i wołu; utrzymywano podłowczego. Dr. Röpell idzie daléj i wykazuje, że opola miały swoje sądy, a nareszcie robi domysł, że *judices inferiores* byli sędziami opolnymi, i stali pod kasztelanami. Jak widzimy z tego, że Dr. Röpell niepowierzchownie naszą historyą obrabia i pojmuje, trzeba i przyznać, że tém objaśnieniem opola rzucił nowe światło nie na pojedyńczy wypadek, ale na samą zasadę pierwiastkowego rządu polskiego. Opole z pewnością było instytucyą słowiańską demokratyczną, bo przy rozdawaniu dóbr rycerzom i duchowieństwu książęta dążący do monarchizmu cudzoziemskiego wszędzie je znoszą.

B i b l i o t e k a w a r s z a w s k a z miesiąca Lutego zamieściła list z Pragi pod dniem 13. Stycznia r. b. pisany, w którym między innymi czytamy: »Niejaki pan Röpell wydał w Hali pierwszy tom historyi polskiéj w języku niemieckim. Do napisania tego dzieła uczył się z umysłu języka polskiego. W tym dziele czci na Długoszu nie zostawił. Za tą krzywdą staremu naszemu pisarzowi wyrządzoną ujmicie się. Nadmieniam tu, że te same zarzuty, które p. Röpell Długoszowi zrobił, można jemu samemu na odwrot uczynić.« Nikt z pewnością Długosza nad nas wyżéj nie ceni. Mamy go za wielkiego narodowego historyka. Szanujemy jego miłość ojczyzny, spojoną z miłością historyi, co tak z serca odmalował w zakończeniu swego dzieła, ale nie widzimy, gdzieby Dr. Röpell c z c i n a n i m n i e z o s t a w i a ł. Jeżeli podnoszenie do historyi podań ludu, bujną fantazyą i pragmatyzowanie zarzuca Długoszowi, to oświadcza, że to było wadą wszystkich historyków XV. wieku, co też jest prawdą, któréj zaczepiać niewolno, że Dr. Röpell przenosi spólczesne podania nad Długosza, to jemu jako historykowi XIX. wieku także inaczéj robić niewolno. Długosz dopiero w półtora wieku za tym czasem żył i pisał, na którym Dr. Röpell swój pierwszy tom zakończył; właściwie Dr. Röpell nie potrzebował jeszcze ani wspominać o Długoszu, a cóż dopiero jego się trzymać. Po co mścić się na Drze Röpellu za uciemiężania Słowian przez dziesięć wieków od szczepu, do którego on należy. Słowiańszczyzna ma stać się prawdą, a stanie się i życiem, lecz niepowinna powstawać na tych, co na jéj dobro pracują. Niech brat Czech weźmie to sobie do serca.

Ta pierwsza część historyi Dra Röpella kończy się z wiekiem XIIIstym. Styl jest gładki, niescisły, ale i nierozwlekły; sam text wynosi 614 stronnic in 8vo majori ściśniętego druku, a zatém rzecz opisana w należytéj obszerności. Na końcu znajduje się dwadzieścia obszernych uwag jako przypiski, a ostatecznie zamykają książkę tabelle urzędników i przywilejów na prawo magdeburskie. Radzibyśmy jak najspieszniéj oglądali i dalsze części tak dobrze napisanego dzieła.

* * *

Wyjątek z listu do redakcyi Orędownika naukowego.

Szanowna pisma tego redakcya prawdzie i saméj sobie winna, umieszczenie przyłączonego tu artykuliku i dowiedzenie przez to, o czém zresztą każdy znający Panów wie dobrze, że jéj nie o względy pojedyńczych magnatów, lecz o służenie narodowi i jego literaturze, któréj krytyk D. (?) tak bardzo uchybił, chodzi. W T y g o d n i k u znalazłby pewnie mój artykuł miejsce, ale mnie właśnie idzie o bezstronność Orędownika i zamienienie polemiki odcieniów politycznych tych dwóch pism w szlachetną rywalizacyą z dobrém.*)

Alfons Białkowski.

Kilka słów o krytyce dzieła pana L. Platera »Opisanie województwa poznańskiego«

umieszczonéj w Orędowniku (Nr. 10. kwartał drugi.)

Wielką dziś już jako p e w n i k uznaną prawdę, wyrzekł świeżo pan Wolniewicz w »Uwagach nad rozprawką p. Mateckiego« (Tyg. lit. Nr. 4.) iż »p r a c a d o s k o n a l e n i a s p ó ł e c z e ń s w a p o w i n n a b y ć g ł ó w n y m p r z e d m i o t e m w i e d z y ł u d z k i é j zadziwiać więc tém bardziéj musi każdego z czasem postępującego czytelnika, iż krytyk Opisu województwa poznańskiego, ogłaszając w swém pismie dzieło to, przepełnionem błędami (zkąd nie tylko jako pomocnicze dzieło być użytecznem nie może, ale nawet jako fałszywe w ogólności zawierające wiadomości, nawet szkodliwem być musi) mógł je mimo tych błędów przenieść nad pisma poprawę spółeczności na celu mające; którym krytyk tę główną winę przypisywać się zdaje, że te zdała od cenzury wychodzą (!!!) — temu zaś za zasługę uważa, że jest c z y s t o n a u k o w e. Gdyby nawet krytykowane dzieło było w wykonaniu najlepszém, krytyk nie mógłby uniewinnić swego wstępu i zakończenia, chyba ganiąc zasadę wychowania przez zgromadzenie prawodawcze przyjętego, a przez Migneta na posiedzeniu akademii nauk moralnych i politycznych 11. Maja 1839. skreślonego w tych słowach: »*L'education ne s'adresse pas seulement à l'intelligence . . mais a l'ame qu'elle cultive dans ses meilleurs sentimens. Sans négliger les belles connaissances et les savans idiomes . . . elle a s u r t o u t pour objet d'apprendre ce qu'il est aujourd'hui necessaire de bien savoir pour b i e n a g i r.*« Równie pewnie nikt nie zaprzeczy, że i historyi jedyną r z e c z y w i s t ą jest zaleta, że z obrazu przeszłości pokolenia żyjące i przyszłe środki korzystniejszego urządzenia spółeczeństwa i umknienia zgubnych politycznych i spółeczeńskich błędów brać z niéj sobie mogą: dla tego więc dzieło pomocnicze historyi, jakiem może być pomieniony »Opis« przenosić nad rezultaty najbliższą z zbawieniem ludzkości styczność mających poszukiwań, jest to tyle co powiedzieć »j e s t e m p r o c h e m z p r z e s z ł o ś c i! p r z y s z ł o ś c i l u d z k o ś ć, d o k t ó r é j j u ż n i e n a l e ż ę, n i c m n i e n i e o b c h o d z ą i n i e m o g ę ś c i e r p i e ć, a b y k t o u c h y b i a ł p o k o l e n i o m z l a t, w k t ó r y c h j a ż y ł e m n a k o r z y ś ć o b e c n e g o l u b p r z y s z ł e g o c z a s u — u b l i ż a ł n a j w y ż s z e m u c h a r a k t e r o w i ó w c z e s n y c h w i e k ó w, ś w i ę t é j z a s a d z i e e g o i z m u, b ę d ą c e g o z a m e g o ż y c i a w p e ł n i s w e g o k w i a t u.« — Gdyby krytyk był zastępcą ludzkości, pewnoby wyrzekł:

Wróć w posady bryło świata
Dawnemy pchniemy Cię tory,
A z młodéj odarłszy kory,
Spleśniałe wrócim Ci lata.

Alf. B.

*) Ponieważ redakcya Orędownika nie chciała umieścić artykułu pana A. Białkowskiego, ten widział się spowodowanym, nadesłać go nam, my zaś za obowiązek sobie poczytujemy go umieścić.

Redakcya Tygodn. lit.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*